PRZYIACIEL DZIECI



Nr. 12. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. 15. Czerwca.

Konik Zwierzyniecki.

Starożytny Kraków, odwieczna stolica królów i dawnych narodowych pamiątek, miasto którego mieszkańcy z takiem uszanowaniem czczą obyczaje ojców, i uroczystemi obchodami uwieczniają pamięć wielkich wydarzeń historycznych, z niezwykłą także uroczystością obchodzi rokrocznie oktawę Bożego ciała. Gdy w dniu tym pod wieczór ukończy się procesja z kościoła Panny Marji, tłumy ludu wszelkiego stanu, wieku i płci, które w niej udział brały, nie powracają do domu, lecz spieszą na przedmieście Zwierzyniec, w przecudnem położeniu nad Wisłą się rozciągające, i tam oczekują na obchód

tej uroczystości. Zbiera się około pięć do sześć tysięcy ludu, a czasem i więcej, i gdy tak wszyscy zajęci są oczekiwaniem, wypada nagle człowiek w stroju tatarskim, w zawoju i żółtych butach, z potężną maczugą w ręku, siedzący na drewnianym koniu, także dziwacznie przybranym, i przy odgłosie muzyki i kotłów rzuca się między ludzi, powstaje wrzawa, lud śmieje się i ustępuje, Tatar pędzi za nim, rozgania chłopców ulicznych, czasem pogrozi któremu swoją maczugą a czasem i dotknie, to znów znika w tłumie i gdzie indziej postrach roznosi, lub wypadnie na środek ulicy i posuwa się bliżej ku miastu, to znów jakiej gromadzie niespodzianie psotę wyrządzi i strachu napędzi, i tak wszędzie śmiech wzbudzając i roznosząc do koła płonny postrach i zamieszanie, spieszy ku Franciszkańskiej ulicy przed pałac biskupi. Tu znowu powtarza się to samo; Tatar harcuje na koniu, a lud pierzcha przed nim, nie rozchodząc się z miejsca. Ale zabawa nie długo trwa w tem miejscu, bo Tatar chciwy jest okupu, a biskupa niema, pałac zaś jego od czasów ostatniego pożaru gorzej jak po Tatarach wygląda, więc dalejże naprzód pomyka się konik drewniany, i czasem aż się na rynek zapędzi. Trwają te gonitwy do poźnego wieczora; powoli lud się rozchodzi a Tatar wzbogacony zdobyczą, bo tu i owdzie z okien rzucają mu pieniądze, wraca na Zwierzyniec.

Obchód ten, znany pod imieniem Konika Zwierzynieckiego, należy do najdawniejszych, ale odkąd wszedł w zwyczaj tego dokładnie oznaczyć nie można, bo początek uroczystości ludowej niknie zwykle w niepamięci. Jest tylko podanie że uroczystość ta datuje się od napadu Tatarów, którzy spustoszywszy ogniem i mieczem całą okolicę po Kraków, wpadli do Zwierzyńca właśnie w chwili, gdy na rynku odbywała się procesja.

Rabunek i mordy zaczęły się na przedmieściu, i wkrótce zapewne całe miasto byłoby uległo zniszczeniu, bo cóż łatwiejszego jak ubiedz miasto w chwili gdy wszyscy oddani są nabożeństwu i nikt się niebezpieczeństwa nie spodziewa, ale

jeden z włoczków wpadł do miasta na rynek, i obwieścił ludowi co się dzieje. Wszystko tedy co żyło pospieszyło myśleć o obronie. Uzbroił się każdy co był zdolny do noszenia broni, i przy odgłosie kotłów lud krakowski rzucił się na wroga. Bóg wysłuchał niedokończonych modłów; Tatarom odebrano łupy, pobito ich i odpędzono, a do tego zwycięztwa głównie przyczynili się włóczkowie, bo oni to ostrzegli miasto o niebezpieczeństwie, i oni pierwsi stanęli do boju z pohańcem. Dla tego też corocznie w oktawę Bożego ciała jeden z włoczków udaje Tatara a inni jego towarzysze otaczają go z muzyką i chorągwią.

Zdaje się że wspomniany napad Tatarów mógł mieć miejsce w r. 1281 za panowania Leszka Czarnego, a jeżli tak, tedy był to trzeci napad z kolei, bo za Bolesława Wstydliwego dwa razy Tatarzy straszne w naszej ojczyżnie zrządzili spusztoszenie, a nawet raz aż po Wrocław się zapędzili.

Włoczkami nazywają w Krakowie tych nadwiślańskich mieszkańców którzy trudnią się spławianiem drzewa. Mieli oni sposobność za dawnych czasów dawać częste dowody męztwa, odwagi, waleczności i przywiązania do ojczyzny, to też królowie polscy nadawali im w nagrodę rozmaite przywileje. Między innemi posiadali włoczkowie o dwieczne prawo spuszczania drzewa do miasta z miejsca zwanego przystanie. Od tego punktu nikomu nie było wolno samemu prowadzić drzewo dalej, lecz trzeba było używać do tego włoczków. Najdawniejszy z przywilejów, który włoczkowie krakowscy zdołali zachować aż do tego czasu, wydany jest przez króla Władysława IV. potwierdzony później przez wszystkich następnych królów polskich aż do Stanisława Augusta. Oprócz tego włóczkowie pobierali corocznie z żup wielickich po dwie beczki soli na suchedni, chociaż za spławianie drzewa na potrzebę dworu królewskiego brali osobne wynagrodzenie.

Włóczkowie stanowili bractwo i używali chorągwi czerwonej z białym orłem i używają jej dotąd nawet, a w czasie obchodu konika Zwierzynieckiego towarzyszą mu z tą chorągwią.

*

Jeżeli który z nich umrze każdy z członków bractwa powinien znajdować się na obrzędzie pogrzebowym, a gdyby który dla ważnych przeszkód nie mógł uczynić zadość temu obowiązkowi, natenczas żona i dzieci zastąpić go mają.

Zmarły w Krakowie poeta Edmund Wasilewski napisał o tem zdarzeniu piękny wiersz, który tu podajemy:

KONIK.

O koniku ci zanucę,
Krakowianko hoża!
Co tańcuje między ludem,
Jak strach przez rozdroża.

W oktawę Bożego Ciała,
Lat temu nie mało,
Gdy po rynku obnoszono
Chrystusowe ciało,
Lud się modlił, giął kolana,
Bo klęski rozliczne
Najechały jak szarańcza
Nasze łąki śliczne.

Lud się modlił, między tłumem
Straszna wieść przypadła,
Z rozwianemi na wiatr włosy,
Spłakana, wybladła,
I wrzasnęła w serca mężów
I w serca niewieście:
„O! biada nam, wielka biada!
Goreje przedmieście!
„Srogi Tatar, chciwy łupu
W Zwierzyńcu plądruje,
„Krwią się topi i na zdobycz
Jako wilk poluje!“

Ale prędzej dędy w lesie,
Zegnie oddech burzy,

I na wiatry je rozniesie:
Niż krakowiak stchórzy.
Przypadł Włoczek ze Zwierzyńca,
Rękę podniósł w górę,
Jak gdyby chciał zażegnywać
Piorunową chmurę.

„Za mną, bracia! na tych zbójców!
Niechaj zginą marnie!
„Nie dozwólmy ziemi naszej
„Najeżdżać bezkarnie!"

Na wiatry czerwoną chorągiew rozwinął,
A z chorągwi orzeł, jak anioł, wypłynął!

I nim w warkocz nocy
Słońce włosy zwiło,
Na Wiślanym brzegu
Tatarów nie było;
Odbiegli zdobyczy i duszy odbiegli,
I trupów taborem Zwierzyniec zalegli.

— — — — — — — — —

W tatarskiem ubraniu, na tatarskim koniu
Przypatrz się jak Włoczek harcuje po błoniu;
Jak wtedy harcował do dziś dnia harcuje,
Bo pamiątkę jego każdy z nas szanuje,
Każdy z nas szanuje — a kto się zapiera
Pamiątki swych ojców—tym wiatr poniewiera.

— — — — — — — — —

SPOTKANIE.

III.

(Dokończenie).

Zostawiliśmy Kazimierza, jak zaniosłszy do lasu rannego Wojciecha, obwiązywał jego rany i starał się go przywieść do życia.

Kiedy tak był zajęty pielęgnowaniem rannego starca, Moskale widząc że w tej stronie powstańcy są najsłabsi, rzucili się tędy całą siłą, chcąc z boku uderzyć na Polaków i naraz ujrzał się Kazimierz otoczony tłumem Moskali spieszących z najeżonym do ataku bagnetem.

Langiewicz stojący opodal na wzgórzu, skąd przeglądał cały przebieg bitwy i wydawał rozkazy, ujrzał to poruszenie Moskali, postanowił więc w tejże chwili uprzedzić atak i zwracając się do kosynjerów, którzy stali w pobliżu:

— Za mną dzieci! zawołał i sam powiódł ich na nieprzyjaciela.

Z okrzykiem Jezus Marja! rzucili się kosynjerowie za ukochanym swym wodzem, i w oka mgnieniu odparli Moskali i uwolnili Kazimierza.

Kazimierz ujrzawszy Wojciecha leżącego we krwi na ziemi, sądził że jest zabity, i w rozpaczy załamał ręce.

Tak jednak nie było. Po ustąpieniu Moskali z placu boju udało się niebawem Kaziowi przywieść swego starego sługę do przytomności.

Wojciech rozwarłszy raz pierwszy oczy ścisnął z uczuciem rękę swego ukochanego panicza i z wyrazem najgłębszej wdzięczności, rzekł do niego:

— Drogi Stasiu, szlachetny mój paniczu! wybawiłeś mi życie — niech ci Bóg zapłaci za mnie, bo kto wie czy moje stare ramie, okryte nadto ranami, zdoła cię kiedyś z równą dzielnością zasłaniać przed ciosami wrogów!

— No, no, kochany Wojciechu — odpowiedział Kazio głosem drżącym od rozczulenia — daj pokój tym podziękowaniom. Na mojem miejscu byłbyś to samo uczynił...

Po tych słowach zawezwał Kazimierz kolegów i za ich pomocą odniósł rannego Wojciecha do ambulansu, gdzie go zaraz lekarz powstańców wziął w gorliwą opiekę.

Odtąd jakiś czas walczył Kazimierz bez starego przyjaciela. Jakkolwiek brakowało mu wiernego towarzysza u boku, walczył mimo to z dawną nieustraszoną odwagą i codzień prawie jakimś chlubnym odznaczał się czynem.

W kilka dni po ostatniej potyczce miał się posunąć oddział polskich powstańców dalej w głąb kraju. W tym celu potrzeba było zrekognoskować, to jest zbadać okolicę — i przekonać się czy i w jakiej liczbie znajduje się w pobliżu nieprzyjaciel?

Jest to czynność bardzo niebezpieczna, bo żołnierze którzy idą na podobne zwiedzenie okolicy czyli rekonesans, mogą się tem łatwiej dostać w ręce nieprzyjaciół, ile że w małej bardzo wychodzą liczbie, aby nie zwracać na siebie uwagi.

Wódz powstańców zakomenderował do apelu, to jest aby oddział ustawił się w porządnym szyku i stanąwszy przed szeregiem zapytał:

— Kto z was ma chęć pójść na rekonesans?

— Ja! ja! ja! — odezwało się mnóstwo głosów i bardzo wielu powstańców wystąpiło z szeregu naprzód.

Najpierwszym między nimi był Kazimierz.

— Poszlij mnie naczelniku! — zawołał do dowódzcy.

Dowódzca znał waleczność Kazimierza i wiedział że na nim zupełnie polegać może. Wybrał go więc z tych wszystkich, którzy się do tej niebezpiecznej posługi ofiarowali i rzekł:

— Jesteś dzielnym i walecznym żołnierzem Kazimierzu, pomimo żeś tak młody jeszcze chłopak! Ufam ci zupełnie! Polecam ci tedy rekonesans okolicy. Ile chcesz towarzyszów?

— Pójdę sam, naczelniku! — odpowiedział Kazimierz.

— Nie, to być nie może — odpowiedział Langiewicz — musisz wziąć kilku...

— Jeżeli koniecznie muszę mieć towarzysza, to wybiorę sobie jednego kosynjera.

Naczelnik przystał na to i Kazimierz wybrał sobie jednego z najdzielniejszych kosynjerów, których była znaczna liczba w oddziale.

Był to prosty wiejski parobek, ale kochał ojczyznę nad życie i gotów był za nią skoczyć w piekło. Bił się zawsze w pierwszym szeregu, narażając z zimną odwagą swe życie na najgroźniejsze niebezpieczeństwa, a w którąkolwiek stronę błysnęła jego wyostrzona kosa, tam padał śmiertelnie rozpłatany Moskal.

Z tym to tedy walecznym kosynjerem opuścił Kazimierz obóz i poszedł na rekonenans.

Było to już pod wieczór kiedy nasi obaj posłańcy opuścili obóz. Zaledwie małą uszli przestrzeń już ich zaskoczyła noc ciemna zimowa.

Kazimierz szedł z swym towarzyszem śmiało naprzód, przyczem wytężał wzrok na wszystkie strony, czyli gdzie w pobliżu nie dopatrzy oddziałów moskiewskich?

Naraz wpadło mu w oko małe światełko, połyskujące mdło w oddali.

— Kolego! widzisz? - zapytał Kazimierz swego towarzysza.

— Widzę, widzę—jakiś ogień! — odpowiedział kosynjer.

— Może to obozowe ognisko jakiej czaty moskiewskiej! Czy pójdziemy dalej?

— A chodźmy!

I obaj powstańcy ostrożnie posuwali się naprzód. Gdy się zbliżyli do ognia, ujrzeli że to światełko bije z okna jakiejś małej, opuszczonej lepianki.

— Trzeba popatrzyć kto tam jest? — rzekł Kazimierz.



Z okrzykiem Jezus Marja! rzucili się kosynjerowie za ukochanym swym wodzem, i w oka mgnieniu odparli Moskali i uwolnili Kazimierza.

— Może tam znajduje się patrol moskiewski! — zauważał kosynjer.

— Tem lepiej! — To go weźmiemy w niewolę — odpowiedział Kazimierz.

— Hu! hu! – zawołał śmiały kosynjer — tożby to dopiero była uciecha!

— Kolego, rzekł Kazimierz — opatrz twój pistolet i miej kosę do ataku na pogotowiu!

— Kosynjer usłuchał a Kazimierz tymczasem opatrzył swój sztuciec i nasadził nań bagnet.

Przygotowawszy się tak na wszystko, podeszli pod oświetlone okienko chaty i zajrzeli do środka.

W izdebce znajdowało się pięciu kozaków. Siedzieli przy małym kulawym stole. Twarze kozaków wyglądały dziko, a wódka, której bardzo wiele wypili, okryła je ciemno - czarną barwą.

— Hulaj, koli!...

— Łowi Laszka!

— Hurra! hulaj! pały! wodki!

— Będziesz ty miał „wodki“! — zawołał kosynjer i silniej ścisnął swą kosę.

— Kolego, baczność! — zawołał Kazimierz i odwiódł kurek od sztućca.

Obaj podeszli pod okno. Pod silnem uderzeniem pawstańców rozleciały się ramy i szyby — a kozacy wydali okrzyk przestrachu.

Kazimierz strzelił i jeden kozak powalił się nieżywy na ziemię. Za nim powalił się i drugi pod ławę — ale nie od kuli, lecz od wódki, która go zupełnie ubezwładniła.

Trzej pozostali porwali się na nogi i dali ognia do okna, lecz nie zranili żadnego z naszych.

— Tymczasem Kazimierz nabił sztuciec i strzelił powtórnie. Kula przeszyła znowu pierś jednemu z kozaków.

W tej chwili kosynjer skoczył do środka. Tuż za nim i Kazimierz i przyłożył kozakowi do piersi bagnet.

— Poddajcie się! — zawołali.

Kozacy widząc się zgubionymi, wydali okrzyk dzikiego przekleństwa i rzucili broń na ziemię. Kazimierz i kosynjer powiązali ich zaraz i nie zapomnieli także i o tym, który od samego początku leżał pijany pod ławą.

— Wiwat nasza wygrana! — zawołał kosynjer.

— Zwyciężyliśmy! — wykrzyknął Kazimierz.

Wtem z kąta izdebki dał się słyszeć jęk silny, stłumiony. Obadwa powstańcy pobiegli w tę stronę ze świecą, i obaczyli jakiegoś polskiego jeńca, którego kozacy srodze poranili i okrutnie skrępowali.

Kazimierz i kosynjer uwolnili go natychmiast z więzów. Był to jakiś stary człowiek, siwe miał włosy i siwa broda spływała mu po piersiach.

Biedny starzec zaledwie mógł mówić.

— Dziękuję ci zacny młodzieńcze! — rzekł słabym głosem do Kazimierza, który opatrywał troskliwie jego rany — Powiedz mi jak się nazywasz?...

— Kazimierz Broński!

— Jak?.... zawołał nieznajomy, jakby nie chciał własnym uszom wierzyć.

— Kazimierz Broński — powtórzył Kazio.

— Boże! mój syn!... zawołał starzec i chciał się rzucić na Kazimierza, lecz siły go opuściły i padł zemdlony na ziemię.

Był to ojciec naszego Kazia.

Pamiętacie zapewne, mali czytelnicy, że zaraz w pierwszym rozdziale tej powiastki pisałem wam o ojcu Kazimierza. Moskale powlekli go na Sybir a głuche wieści głosiły że tam męczeńską zginął śmiercią.

Tymczasem tak nie było...

Ojciec Kazimierza zniósł wszelkie cierpienia sybirskie a przed rokiem właśnie udało mu się nawet uciec. Dostał się do Francji i ztamtąd chciał zasięgnąć wiadomości o żonie i synu — lecz nim się to powiodło, wybuchło polskie powstanie.

Pan Broński, jakkolwiek już w podeszłym wieku, pospieszył na pole walki, gdzie mężnie potykał się z wrogami. W jednej z ostatnich potyczek dostał się w ręce kozaków.

Miał się już za zgubionego. Lecz Bóg chciał pocieszyć starca.

Wyratował go z rąk wrogów własny syn.

* *

*

Jak wielka była uciecha pana Brońskiego i Kazimierza z powodu tego cudownego spotkania, nie potrafię wam opisać. Postawcie się na ich miejscu, a pojmiecie ją lepiej.

Stary Wojciech jakby cudem ozdrowiał na widok swego pana. Kazimierz zaś oprócz synowskiej radości — uszczęśliwiony był nadto i chlubnem przyjęciem w obozie. Przyprowadził z sobą trzech kozaków i pięć koni. Langiewicz go pochwalił w obec całego oddziału i odtąd jeszcze większy czuł do dzielnego młodzieńca szacunek.

Lecz niema zupełnego szczęścia na świecie. Kazimierz i jego ojciec dotknięci zostali niebawem ciężkim smutkiem. Stary Wojciech wyzdrowiawszy — poległ śmiercią walecznych.

Otoczyła go wraz z Kazimierzem przeważna siła moskiewska. Wojciech i Kazimierz dzielnie się bronili, lecz nim nadciągnęli Polacy, kula przeszyła waleczną pierś starego sługi... Kazimierz tylko zwłoki jego mógł unieść z pośród nieprzyjaciół.

Takie były dotąd losy Kazia. Jakie będą dalej — to w Boskiem leży ręku. Da Bóg, kiedyś dzielny Kazimierz po długich bojach osiędzie z starym swym ojcem na swobodnej, wolnej od wrogów niwie polskiej!...

LIPOWIANIE.

Każdy człowiek powinien kochać swoją rodzinną ziemię a kochając powinien ile możności starać się poznać jej płody i skarby, miejsca obfite w dary przyrody i pamiątki historyczne, jej zwyczaje i obyczaje, jako też i mieszkańców, którzy ją zamieszkują, równie jak i tych z którymi ciż mieszkańcy bądź to w handlowe lub towarzyskie wchodzą stosunki.

Kto nie zna ziemi swojej — kochać jej nie może.

Widziałyście już zapewno nieraz owych ludzi z brodami co to przyjeżdżają do nas nieraz z wiosną wózkami zaprzęgniętemi jednym koniem w kabłąku — wózków takich ciągnie się czasem kilkanaście jeden za drugim, a ludzie ci używani bywają do kopania rowów, sypania grobli i tym podobnych robót. Ugodziwszy się biorą się raźno do pracy, wózkami wywożą wykopaną ziemię, sypią groble, nasypy itp. a gdy już ukończą ugodzoną robotę, to jadą dalej i znów godzą się gdzie indziej do podobnych robót, aż w porze żniw lub późną jesienią powracają do swoich domów.

Ludzie ci nazywają się Lipowianami, mają siedziby swoje na Bukowinie, a do nas przyjeżdżają tylko latem na robotę.

Lipowianów na Bukowinie jest bardzo mało, gdyż liczba ich nie dochodzi nawet trzech tysięcy. Jestto sekta grecko orjentalnego czyli rosyjskiego kościoła, która z tej przyczyny z

Rosji na Bukowinę się przesiedliła, że jej przodkowie nie chcieli przyjąć zaprowadzonych przez patryarchę Nikona 1666 r. nowych obrzędów religijnych, do przyjęcia których Piotr I. car rosyjski, groźbą i surowością chciał ich zmusić.

Nazywają się nie tylko Lipowianami, ale także: Filipowianie, Raskolnicy, Wybrani lub Starowiercy — tak się sami i tak ich powszechnie w Rosji nazywają.

Wyszedłszy po długiem prześladowaniu cara Piotra Wielkiego z Rosji, osiedlili się nie tylko w samej Bukowinie, ale też częścią, między Kozakami na Zaporożu, częścią aż na Sybirze.

Do Bukowiny przyszli oni dopiero 1783 r., gdzie od cesarza austryjackiego Józefa II. otrzymali pozwolenie wolnego pełnienia swoich religijnych obrzędów — tudzież uwolnienie od poboru do wojska.

Lipowianie nie wchodzą w związki z innymi mieszkańcami kraju, i w ogóle z ludźmi innego wyznania, i wszelkiej styczności z nimi jak najstaranniej unikają, przestając na własnem towarzystwie, co jest właśnie powodem iż tak mało są znani. Przytem mają oni wiele uderzających a właściwie nader dziwacznych i śmiesznych zwyczajów, których najstaranniej przestrzegają.

Nie mają oni księży, albowiem wszystkie obrzędy kapłańskie odprawia najstarszy z rodziny, a każda rodzina osobne dla siebie odbywa nabożeństwo.

Chrzest przyjmują dopiero w wieku starszym, a to podobno dla tego, aby umieć wprzód wszystkie zasady swojej religji i pokazać się w czasie tym godnym tego ważnego aktu.

Jestto zresztą lud bardzo spokojny, odznacza się nader czynnem życiem i utrzymuje się z handlu. Uprawa roli jest dla Lipowian najmilszą pracą, to też rolnicy są z nich wyborni. Trudnią się również niektóremi rękodziełami, a szczególnie w kopaniu stawów, osuszaniu moczar i bagien są bardzo

biegli, dla tego też niektórzy z nich o wiele mil w różne strony na zarobek się rozchodzą.

Ubiór Lipowianów na Bukowinie zamieszkałych, jest ten sam co i innych tamtejszych mieszkańców. Noszą oni długą z szerokiemi otwartemi rękawami, po wierzchu spodni spuszczoną koszulę, szerokim skórzannym, pięknie guzikami wybitym pasem opasaną, na którą biały albo brunatnego koloru sierak, w zimie zaś kożuch przywdziewają.

Głowę okrywają albo kapeluszem, albo wysoką baranią czapką — a na nogach noszą chodaki (kierpce) aż do kostek rzemieniem ściągnięte. W stroju tym z długiemi brodami malowniczo wyglądają.

Kobiety noszą białe w różne kwiaty jedwabiem albo kolorową włóczką na ramionach i piersiach wyszyte koszule, głowy osłaniają z białej chustki zrobionym zawojem — spodnice noszą z grubej różnobarwnej wełniannej materji. Lipowianie zachowują posty z wielką surowością i w ogóle są bardzo umiarkowani w jedzeniu.

Przekleństw, przysięgania się, zażywania tabaki, palenia tytoniu i picia gorących napojów nie spostrzeżesz między tym ludem, albowiem to wszystko mają swemi ustawami sobie zabronione.

Męczyżni doszedłszy do 50 lub 60 lat wieku, rozwodzą się z żonami, stają się sędziami gmin, poświęcają się sprawowaniu obrzędów religijnych, a oddawszy się zupełnie pobożności — nauczają młode pokolenie, u którego zachowania starych obyczajów starannie przestrzegają.

Wiadomo każdemu z was, kochane dziatki, że pies stał się najwierniejszem zwierzęciem dla człowieka, za co najbardziej prawie z wszystkich zwierząt jest lubiony — lecz u Lipowianów przeciwnie nienawidzony jest tak bardzo, że się mu nawet w pobliżu żadnego Lipowiana, jako nieczystemu zwie-

rzęciu, znajdować nie wolno. Bociana zaś jako świętego uważają ptaka, a krzywda jemu wyrządzona do zbrodni jest policzoną.

Do najdziwaczniejszych jednak zwyczajów u tego ludu należy chowanie umarłych. Nie znajdziesz u nich cmentarza dla całej gminy — albowiem każda rodzina ma sobie własny swój cmentarz w ogrodzie.

Zwłok zmarłego nie wkładają do trumny, ale starannie owijają je w papier i w dębowym pniu umyślnie w tym celu wydrążonym umieszczają, nucąc przytem nabożne pieśni i psalmy, poczem skromną sprawiają stypę, ciesząc się że zmarły nie będzie już więcej grzeszył. *J. z B.*

Znaczenie zagadki z numeru przeszłego:

Kosa.

Z numerem dzisiejszym kończy się półrocze bieżące Przyjaciela dzieci. Numer ten jest ostatni dla przedpłacicieli półrocznych, tudzież dla tych, którzy prenumerowali rocznie od dnia I. Lipca 1862. Zapraszając czytelników naszych do dalszej przedpłaty, dołączamy dla ułatwienia przesyłki pieniężnej, listy zwrotne.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1863.